ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Maja 1892. **Nr. 10.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Mrok zimowy spadał jak gęsta zasłona na lasy, niebo coraz ciemniało, drzewa zdawały bielsze coraz. Petrek już był i ognia dobył, huby i siarczystej onuczki, już przysiadłszy na ziemi zgarnął liść, drobne gałązki, susz i płomyk rozdmuchał. Dobywał się jasny ogieniek wesoło, jakby go kto z więzienia na świat uwolnił, skakał żółtemi języczkami do góry, zwijał się kapryśnie na prawo i lewo, a pod nim dymek płynął wstęgami sinemi i buremi, aż się robiło raźno w duszy. W pośród szarych już mroków poczęły się białe gałązki złocić, sosny rumieniec. Ciepło od ogniska rozchodziło się do koła...

Na tem nie dosyć. Petrek z toporkiem poszedł po gałęzie jodłowe, obciął ich kilka, zwlókł na kupę, parę kołków okrzesanych ze ściętych sosenek wbił w ziemię, na nich jak oponę jedlinę porozwieszał i szałas zbudował, u którego wnijścia ogień się coraz lepszy palił. Wprzódy nawet i z wiatrem porachował się tak, ażeby gryzący dym precz na łąkę odganiał.

— Miłościwy panie, — rzekł książę — teraz kobierczyk pod szałas zaciągnę, legnijcie sobie wygodnie a spoczywajcie.

— Dobry z was towarzysz — odrzekł książę — na Boga, doskonały! Jeżeli nasza dwornia nie przybędzie, bodajby się i wasza torba jeszcze na co zdała.

— Byle się w niej co znalazło! — zawołał Petrek wesoło — bo pospiesznośmy wyjeżdżali, nie wiem, czy do niej co włożyć pamiętali. Zawsze jednak coś się tam znajdzie — dodał z uśmiechem — bo próżna nigdy nie jest.

— Rogi się coś na nawołanie nie odzywają, bodaj tak nocy nie przepędzić. Dla mnie to niczem, miłościwy panie, bom ja nawykł i na śniegu leżeć i na deszczu spać i na zimnie a skwarze czy odpoczywać czy pracować; ale Wam!

— A jam też, choć królewski syn, przecie myśliwy — odezwał się książę, — bywałem i ja w różnych sprawach, a nie smakowało mi nigdy nic, jako chłopski chleb o głodzie i polewka z mąki w chacie na łowach. W lesie człek do-

brej myśli zniesie wszystko, więcej niżeli doma na wezgłowiach.

Zwlókł się mówiąc to książę z kobierca pod szałas, Petrek ognia podsycił, buchnął płomień do góry, książę się na nowo ułożył wygodnie i na łokciu oparłszy, począł:

— Petrek! na łowach wy mi druhem jesteście? hę? a czemuście to mi gdzieindziej wrogiem?

— Ja? ja? — odparł Petrek — ale ja nigdy i nigdzie wrogiem miłości waszej nie byłem i nie jestem!

— A przecie ty mi stajesz na drodze?

— Do czego? gdzie? miłościwy panie?

— A do panowania i korony — zawołał Władysław.

Petrek zmilczał trochę.

— Miłościwy książę — odezwał się głosem poważnym — póki ja będę żyw, nie wyjdzie mi z pamięci ów dzień i godzina, które i dla miłości waszej, pewnie pamiętne bardzo być muszą. Pomnicie, książę, ów smutny dzień jesieni (28. Października) gdymy to oba razem stali u tego łoża, na którem krol mój, pan mój, ojciec mój, a wasz też rodzic konał otoczony biskupy, wśród modlitw naszych i jęków. Nie wyszła wam z pamięci ta twarz boleściwa wielkiego rycerza, co życie przewojował, a miał więcej blizn niż lat — gdy na tę, którą wdową miał zostawić patrzał, na maluchnego swojego Kaźmierza, dla którego ziemi nie stało, na ledwo dorastających książąt bracię waszą, Henryka, Bolesława i Mieczysława. Ja do dziś dnia jeszcze słyszę, jako modlitwę ledwie odmówiwszy ostatnią polecać Wam począł sieroty... Będziecież wy z dziećmi i wyrostki wojowali i gnębili je? Nie! nie! miłościwy panie! Lepsze błogosławieństwo ojca z za mogiły niż korona! Ja co pomnę wieczór ten, posłusznym głosowi pana być muszę. Bo zwrócił się i do mnie miłościwy pan i rzekł: »Wy Ojcowie duchowni, Pasterze, Ty Petrku, wierny sługo mój, wy Wojewodowie, strzeżcie woli mej, aby się dzieciom krzywda nie działa.« A! panie! i ty nie rad przeciw nim pójdziesz, ale...

Nieskończył Petrek i urwał.

— E! — odparł Władysław. — Co ja chcę, co kto chce, co ojciec żądał, nie znaczy tu wiele. Pomyślcieno Petrek, nie o sierotach a o ziemi tej sierocej, którą nieboszczyk jak placek dla głodnych pokrajał. I nie on ją sam dzielił, ale wdowa uprosiła Biskupów, a ci jej pomagali, aby im rządzić łacniej było samym i panować. Nie my tu już książętami, ale oni; i sprawa to nie króla nieboszczyka ale ich.

— Ja o niczem nie wiem, tylko o tem, com z ust pana konającego słyszał, — rzekł na to Petrek. Panem on był i mógł tę ziemię dzielić, co ją po ojcach dziedziczył, a krwią swoją utrzymał... tak jak Władysław między niego a Zbyszka.

— I Bolko też Zbyszka zabił, aby podzieloną nie była! — roześmiał się Władysław, — błąd ojcowski naprawił.

— Ano Zbyszek jawnym zdrajcą był!

— A bracia moi, młokosy te, porósłszy w pierze zdrajcami nie będą? Alboż to ich dwu już, ledwie pod wąsem nie pożeniła Salomea zawczasu, aby im dać sprzymierzeńców! Albo to się na mnie nie zjeżdżali w Łęczycy?

— Królowa już nie żyje! — westchnął Petrek.

— Ale wola jej żyje — odezwał się Władysław i nagle, jakby rozmowę chciał odwrócić, począł się uśmiechać.

— E! nie prawmy o tem! Dość! raczej ty mnie nakarm i zabawiaj, bom głodny i tęskny. I trzymaj ze mną. Petrek, nie z temi, co to się bracią mą zwą, a nieprzyjacioły są. Ze mną ty urośniesz jeszcze, a przeciw mnie nie uczynisz nic i siebie zgubisz.

— Miłościwy książę — odezwał się Petrek, — ja przeciw tobie nie pójdę, ale i z tobą przeciw sumieniowi, zakonowi, nie mogę! Nie ja jeden pragnę strzymać prawo, wszyscy panowie duchowni, wszyscy.

Książę się namarszczył.

— Patrzajcie, abyście przeciw sobie nie ściągnęli tak wielkiej siły, której ani duchowni, ni świeccy nie zmogą. Mówię ci, Petrek, jeszcze raz, trzymaj ze mną.

Petrek za nogi go ścisnął.

— Książę miłościwy, idźcie wy za wolą ojca i sprawiedliwością, a Boże błogosławieństwo będziecie mieć.

Książę przerwał rozmowę. Noc już była czarna.

— Petrek, jam bo głodny! — zawołał — do torby swej idź, patrz coś tam w niej niósł.

Dopiero sobie Palatyn torebkę na ziemi porzuconą przypomniał i począł z niej coś dobywać. Był w niej placek, chleb i trochę soli w węzełku; na ostatek kawał mięsa wieprzowego! Petrek wytrząsł torbę do dna, nie było w niej więcej nic. Rozśmiał się.

— Torbęm wziął, — rzekł, — ale mi ode dnia wczorajszego nic w nią nie włożyli. Wczorajem sobie na łowach kawał dzika odkroił i ten tylko pozostał. Chyba to mięso na drewienku upiekę i tem waszą miłość posilę. Gorsza to jeszcze, że mi do torby beczułki nie dano, i pragnienia nie będzie czem ugasić chyba śniegiem.

— Tegom już ja próbował — rzekł książę, — i nie wzdrygam się. Dawaj co masz. Dziczyzna przypieczona dobrą będzie na głodny ząb.

Tymczasem chleb jął łamać książę i jadł ze smakiem wielkim, a Petrek u ognia siadłszy, rożenek wystrugał, widełki w ziemię wbił, dziczyznę przypiekać i solić począł, i tak księciu z rożenka ją podawał, który na suchych liściach ją kładł, palcami rozdzielał sobie, jadł chciwie i chwalił bardzo.

— Zaprawdę, dziczyzna ta twoja doskonała jest — mówić począł, — a z ciebie do wszystkiego człek, choćby i do przyprawy jadła, zdałeś się wszędzie.

Poczęli tedy obaj kulki ze śniegu lepić, w usta je kłaść miasto napoju, i tak gasić pragnienie.

Petrek mało co sam jedząc, księcia karmił tylko, potem zrzynki mięsa przyskwarzywszy, cośkolwiek też przegryzł, bo wiele nigdy nie potrzebował. Byle duszę w ciele utrzymać.

Potem jeszcze półgłosem do siebie gadali o sprawach kraju, o rządach, niby po przyjacielsku i spokojnie. Raz jednak zamigotała w oczach Władysławowych straszna błyskawica. Wtedy mu właśnie Petrek mówił, że słomianym księciem jest a jego żona z marszałkiem Dobkiem istotnie rządzą wszystkiem. Po tych ostrych słowach stracił snać książę ochotę do dalszej gawędki, bo głowę skłonił ku ziemi, płaszczem się przykrył i zamilkł...

O brzasku zerwał się książę i natychmiast za róg swój wziąwszy, począł na dwór trąbić gwałtownie, bez spoczynku. Głos teraz, skutkiem jakiejś zmiany w powietrzu i ciszy porannej rozchodził się silnie i daleko.

Petrek też, naśladując go, trąbkę swą dobywszy, dął w nią co miał siły. Nawoływali i hukali jeden i drugi na przemiany, aż i dzień biały robić się zaczął.

Nie rychło, zdala doleciał ich głos łowieckiego rogu; książę poznał po nim Holszę i wnet odpowiedział raz i drugi, naglące. Zaczął się zbliżać odgłos trąbek, które przywabiane, do koła brzmiały podjeżdżając ku miejscu noclegowemu, i w gąszczach zaszeleściało wreszcie, dwór i łowcy przybywali.

Książę niecierpliwy, gniewny zerwał się zaraz na nogi i począł wołać łając swych ludzi. Cisnęli się oni strwożeni, wymawiając, lecz gdy ich raz przy sobie zobaczył Władysław, słowa nie rzekł już więcej i skinął, aby mu konia podawano.

Dwór Petrkowy przyciągał także, dobyto zapasy jadła i napoju, ale książę tknąć nic nie chciał.

— Nakarmiłeś mnie, Petrek — rzekł — z przekąsem tak żem dziś syt jeszcze... Napij się za to wina mojego i w drogę.

Kazał beczułkę swoją przynieść Palatyn, ale z tej Władysław kosztować nie chciał, pokrzepił się kubkiem własnego, nagląc tylko o konia. Petrek próbował zapraszać jeszcze na spoczynek do swojego dworu.

— Spoczywać nie będę nigdzie, — odparł książę, — łowami pociągnę do domu. Drogi nasze nie jedne, wy się sobie zawracajcie do siebie, ja pociągnę wprost ku Krakowu.

I stojącemu u konia swego, rzucił książę obojętnem:

— Bóg z wami!

Tak zimno się z Palatynem rozstawszy ruszył książę, nie dając mu jechać z sobą. Petrek pozostał z ludźmi swemi i zadumał się nad przygodą.

— Co się stało, stało się — rzekł w duchu — słowo rzeczone raz cofnąć się nie może, a bodajby się zażyło ciężko!

Gdyby drugi raz przyszło do podobnej rozmowy, czuł Petrek, że inaczejby odpowiadać nie mógł i nie chciał. Po nocy bezsennej układł się teraz na spoczynek i nierychło wybrał do Wrocławia. Tymczasem książę ze swym Holszą był już daleko.

Łowczy chciał go znów ostępami prowadzić nazad, ale księciu ochota odpadła od myśliwstwa, kazał gościńcem spieszyć, nie zbaczając z drogi, i nad zwyczaj swój pospieszał, a ludzie uważali, że sam do siebie mruczał i gniewny był. Nawet Holszy słuchać nie chciał, psów nie wołał, nie patrząc na nic.

— Stało mu się coś — mruczał Holsza — na tym przeklętym noclegu. Ażali go czarownik ten nie otumanił i nie zadał mu czego, bo niesłychana rzecz, żeby znagła mu zbrzydły łowy i wszystko czem się wczoraj zabawiał! Uciekaliśmy, uciekali z Krakowa, a teraz na łeb na szyję, z powrotem!

Jechali ledwie przystając i podnocowując, pasąc mało i krótko konie i psy, zmęczeni wszyscy aż do Krakowa samego. Gdy już Wawel widać było, stała się w księciu zmiana jakaś, zawahał się, jakby nazad w lasy chciał uciekać. Zatrzymał konia, brew namarszczył, począł mruczeć, coś mu w niesmak było, konia targał, obracał nim, aż spiąwszy go nogami poleciał pędem na zamek. Tu przybywszy, jak stał poszedł do swych izb i zamknął się.

Miał dawniej stały ten obyczaj książę, iż wprost z konia do pani Agnieszki szedł ją przywitać, która zawsze dla powracającego czulszą się okazywała.

Zadziwili się wszyscy, gdy ani spytał o żonę.

Po godzinie oczekiwania posłała księżna Dobka zapytać Holszy, czy łowy złe były, albo się na nich co stało?

Łowczy nic powiadać nie chciał, ramiony ruszył i zamruczał.

— Czegoś nie swój!

Wyczekawszy późna do wieczora, Agnieszka niespokojna sama poszła do męża. Znalazła go leżącego z głową w dłoniach. Nie bardzo ją witał, rzucił wejrzenie ponure, zamruczał coś i dodał, że znużony jest a odpoczywać potrzebuje.

Nienawykła do takiego obejścia się, dumna pani, zeszła mu z oczów, pewna że gdy przeminie to usposobienie i nadąsanie, mąż sam przyjdzie ją przepraszać. Tymczasem księcia i tego dnia i nazajutrz nie było, siedział w swej izbie zamknięty.

Chciała Dobka posłać na zwiady, ale tego książę do siebie nie kazał puszczać, odprawiono go od progu. Zląkł się ulubieniec pani. Coś się stało!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIEŚŃ.

Ziemio moja ukochana,
Potem ojców naszych zlana,
Jak nie kochać sercem ciebie,
Kiedy wspierasz nas w potrzebie?...

Myśmy tutaj tak szczęśliwi;
Plon twój, matko, nas wyżywi,
Ciało wzmocni i pokrzepi;
Czyż gdzie może nam być lepiej?...

Gdy kto koło ciebie chodzi,
To obficie mu się zrodzi,
Nie dręczy go niedostatek,
Ma dla żony, sług i dziatek.

Kto więc pilny, gospodarny,
Nie trapi go smutek czarny,
Nie narzeka na swą rolę,
Bo ma przecie znośną dolę.



Kościół katolicki w Kijowie. (Obacz objaśnienia rycin na str. 159).

Bardzo serce nam zasmuca,
Gdy kto ziemię swą porzuca,
Do obcego ciągnie raju,
Że mu ciasno w naszym kraju.

Poszczęść w pracy, dobry Boże,
To nam źle się wieść nie może;
Niech oświata tu się szerzy,
Dobrze będzie przy macierzy.

Józef Chmielewski.

Ksiądz Szczepan Keller.

Żar domu Pańskiego pożera mię. Psalm 68 w. 10.

Co Król Prorok temi słowy tak dobitnie o sobie wyrzekł, dosłownie to samo działo się w duszy ś. p. ks. Szczepana Kellera. Jego żarliwość o chwałę Bożą i zbawienny pożytek bliźnich była bez granic, tak iż prawdziwie pożarła i strawiła wszystkie siły jego tak duchowe jak i cielesne, i tak przedwczesną spowodowała śmierć.

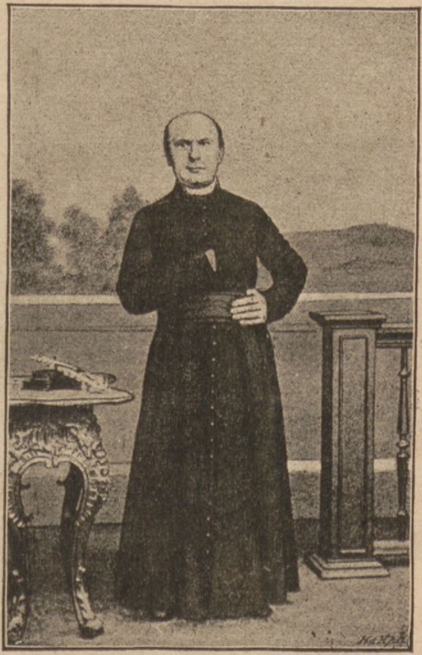
Urodził się Szczepan Szczęsny Keller we wsi kościelnej Chmielnie w Kaszubach, gdzie ojciec jego Jan wtenczas był nauczycielem, dnia 10. Lipca 1827 r. Pobożna matka Weronika z domu Brylowska, jakby w przeczuciu, że synek pójdzie za przykładem pierwszego męczennika, pełnego łaski i mocy, rozporządziła, by na chrzcie św. prócz Szczęsnego dano mu imię Szczepana. Ona też ulubieńca swego strzegła jak oka w głowie i w bojaźni Bożej wychowywała. Wcześnie młodego Szczepana trzymając za rękę prowadziła do świątyni Pańskiej, gdzie wtenczas ze wszech miar zacny ks. Tempski z prawdziwie patryarchalnem namaszczeniem urząd proboszcza sprawował. Musiał ten kapłan wielki wywrzeć wpływ na młodociane serce chłopczyka, kiedy tenże jeszcze w późniejszym wieku wiele dykteryjek zabawnych i poważnych o nim umiał opowiadać. Zdaje się też, że zapatrywanie się na czcigodną postać ks. proboszcza obudziło w nim już wcześnie skłonność do stanu kapłańskiego. Od matki swej nauczył się Szczepanek dużo śpiewów nabożnych i to dało pierwszy powód do zajmowania się zbieraniem pieśni. Częściej też towarzyszył matce na pielgrzymkach do pobliskiego klasztoru kartuzyańskiego w Kartuzach, i gdy po zniesieniu tego klasztoru drogocenną bibliotekę przewożono na drabnych wozach do Królewca i Berlina, mały Szczepan już wtenczas porozpruszane lub spadłe z wozów karty książek skrzętnie zbierał i w domu przy kominku przy drzazdze sylabizował, czem położył fundament do bogatego skarbu wiadomości, który w głowie swojej pomieszczony posiadał, tak iż w późniejszych czasach trafnie go ktoś »żyjącą biblioteką« przezwał.

Pierwsze początki nauki czytania i pisania pobierał młody Szczepan u ojca swego. Atoli już w 7. roku życia swego posłany został do Gdańska, gdzie przez 5 lat odwiedzał katolicką szkołę przy Królewskiej Kaplicy.

W roku 1840 mając lat 13 przyjętym został do Sakramentów świętych i zaraz potem wrócić musiał do domu rodzicielskiego, gdyż ojciec, utraciwszy urząd swój, dalej w Gdańsku go utrzymać nie mógł. Już się chwycił rzemiosła i byłby musiał zagrzebać swe piękne talenta, gdyby Opatrzność Boska w owę okolicę nie była zesłała księdza, który naszego Szczepana, poznawszy jego nadzwyczajne zdolności, od warsztatu napowrót do szkół nie był posłał.

Któż u nas nie słyszał o ks. Tułodzieckim, zmarłym proboszczu Miłosławskim? Ileż to sierót zawdzięcza mu swe wychowanie? Będąc wtedy lokalnym wikarym w Sianowie, wyszukiwał zdatnych chłopczyków, aby ich wyćwiczyć nieco w języku łacińskim i potem posłać na gimnazyum. Wielu z nich wysokie dzisiaj zajmuje miejsca w społeczeństwie. Jednym z nich był nasz Szczepan. Przysposobionego nieco w początkach gramatyki łacińskiej odwiózł ks. Tułodziecki razem z innymi do Chełmna w roku 1842. Choć nie był dość zdatny do kwinty, to jednak tegoczesny dyrektor ks. Richter ze względu na jego wiek przyjął go do tej klasy, spodziewając się, iż pilnością nadpędzi znaczne niedostatki. Ale skądże brać utrzymanie? Ks. Tułodziecki, który został proboszczem Bzowskim, nie mógł wszystkiego dostarczyć, boć prawie zawsze miał u siebie około 30 sierót. Ks. Andrzej Pomieczyński, później proboszcz w Grucznie, objął właśnie wtedy probostwo Chełmińskie. U niego przemyślny ks. Tułodziecki dla swych chłopczyków wynalazł stancyjkę, gdzie przez dwa niemal lata i nasz Szczepan miał wolne pomieszkanie. Choć to ułatwiało mu już bardzo utrzymanie na gimnazyum, to jednak, kiedy znikąd zapewnionego nie miał wsparcia, odmawiał sobie wiele, by dopiąć zamierzonego celu, jakim był dlań stan kapłański. Wrodzony mu zapał do nauk, pilność niezmordowana, rzadka energia i hart ducha przezwyciężyły wszelkie trudności. Z jakim niedostatkiem nieraz walczyć musiał, to najlepiej świadczy zdarzenie, które opowiada jeden z rówienników jego. Wielce zasłużony

ś. p. ks. profesor Knast, udzielał lekcyi języka hebrejskiego i zadał w tym przedmiocie pracę. Nasz Szczepan wygotował pracę odznaczającą się szczególnie pięknem i wyraźnem pismem hebrejskiem, ale jej nie dokończył. Ks. profesor poprawiwszy pracę przynosi ją do klasy i chwaląc przedewszystkiem pismo naszego Szczepana, pyta się go, dla czego tej pracy nie dokończył. Młodzieniec skromny milczy początkowo; dopiero za naleganiem ostrem ks. profesora odpowiada w prostocie swojej: »Ach księże profesorze, pisałem póki wiórki na kominku się paliły, ale gdy zgasły, tom musiał zaprzestać.« Komuż, gdy to słyszy, nie przychodzi na pamięć rzadka pilność Papieża Hadryana, który w młodości swojej uczył się przy latarni na ulicy miasta? Nasz Szczepan do wyższych postąpiwszy klas, by mieć pomoc w utrzymaniu swojem, udzielał lekcyi zamożniejszym uczniom niższych klas i tracił na tem porę dzienną, a za to późno w nocy musiał się starać o wykończenie zadanych prac. Mimo tych trudności jednak co rok regularnie postępował do wyższej klasy. W czasie wakacyi z laską w ręku pieszo znaczne podróże odbywał, nie tak by wyżebrać sobie wsparcia, ale raczej z wrodzonej ciekawości, by poznać swój kraj ojczysty. Nie masz też okolicy w dyecezyi chełmińskiej, którejby w młodości nie przewędrował. Puścił się też w Poznańskie i nawet część Królestwa Polskiego zwiedził.



Ks. Szczepan Keller.

Roku 1849 złożywszy egzamin dojrzałości przez śp. Biskupa Anastazego Sedlaga został przyjęty do seminaryum klerykalnego w Pelplinie, aby do stanu duchownego się przysposobić. Ponieważ z nim razem tylko jeszcze jeden wstąpił do seminaryum, łączono ich z innymi kursami, a w niektórych godzinach prywatnie się zatrudniali. Z wolnych chwil korzystał jak najsumienniej i już wtenczas pisywał pod literą S. K. bardzo dobrze opracowane artykuły do »Szkółki narodowej.«

Wspomnienia godne, że głównie za jego staraniem Arcypasterz zezwolił na założenie biblioteki polskiej w seminaryum, aby klerycy w języku dla nich wszystkich nieodzownie potrzebnym tem lepiej się wyćwiczyć mogli.

Na Wielkanoc roku 1853 został wyświęcony na kapłana. Teraz dopiero otwiera się mu obszerne pole działania, bo co dotąd czynił, było tylko doń przysposobieniem; teraz dopiero żarliwość jego o powiększenie chwały Bożej i zbawienny pożytek bliźnich mógł się wyraźniej na roli serc ludzkich uwydatniać; teraz dopiero z zewnętrznych objawów jego życia duchowego można było wnosić, że żar domu Pańskiego pożerał go. Kilkomiesięczny pobyt na posadzie wikarego w Kościerzynie wystarczał, aby Władzę duchowną przekonać, że ksiądz Szczepan do piastowania i najtrudniejszego urzędu jest dość zdatnym. Zaczęto wtenczas właśnie przemyśliwać o założeniu stacyi misyjnych w Pomezanii, tam gdzie to od przeszło 300 lat katolicy żyjąc w rozproszeniu między innowiercami nie mieli ani własnych kościołów ani księży. Pierwszą próbę uczyniono w powiatowem miasteczku na Mazurach w Ostródzie. Na pierwszego Misyonarza na tem miejscu przeznaczyła Władza duchowna w Pelplinie młodego księdza Szczepana.

Towarzystwo św. Bonifacego i Wojciecha, obowiązało się płacić mu miesięcznie 20 tal. na utrzymanie tej stacyi misyjnej. W Październiku roku 1853 młody kapłan wyruszył na posadę przeznaczoną w imię Pańskie. Po drodze kołacąc do serc miłosiernych, umiał wyżebrać nieco paramentów dla przyszłej swej kapliczki. Jeden z księży Pelplińskich dał mu komżę i stułę, drugi kielich, trzeci darował mu mszał. Najwięcej jednak przyborów kościelnych otrzymał od ś. p. księdza dziekana Sampławskiego w Radzynie.

Początkowo odprawiał nabożeństwo w najętym domu, później w jednej części starego zamku Ostródzkiego przerobionej na kaplicę, aż nareszcie za jego głównie staraniem stanął na górze w położeniu bardzo malowniczem kościół osobny. Nie tak łatwo sobie wyobrazić, jakie trudności przy wystawieniu domu Bożego miał do zwalczania. Był to od wielu wieków pierwszy kościół, który zbudowano z dobrowolnych składek. Lud jeszcze nie był przyszedł do uznania, że ofiara przyniesiona Bogu jest tylko groszem pożyczonym Bogu, który go oddaje z rozlicznemi odsetkami, jeżeli nie w tem, to napewno w przyszłem życiu.

Ks. Szczepan sam objechał całą Lubawską ziemię i udało mu się zebrać fundusz wystarczający na zakupienie potrzebnego materyału budowlanego. Przy budowie sam wszystkiem rozporządzał; może nie masz w murach tego kościoła prawie ani jednego kamyczka ani cegiełki, którejby nie był miał w swem ręku. Nic więc dziwnego, że, jak o tem świadczą jego następcy w Ostródzie, dotąd prawie ani jeden kamyczek jeszcze nie wypadł; podczas gdy inne później postawione kościoły misyjne dużo już wymagały kosztów na reparacyą, świątynia Ostródzka najlepiej się utrzymuje.

Ale nie mniej starannym był o przyozdobienie duchowego domu Bożego, jakim jest serce każdego wiernego. Obdarzony talentem kaznodziejskim, nawet licznych innowierców przyciągał do świątyni Pańskiej i nie jednego na łono Kościoła świętego nawrócił. Przekonany o tem, że aby skutecznie wpłynąć na lud od dawna zaniedbany, trzeba koniecznie przedewszystkiem się starać o dobre wychowanie młodszego pokolenia, zaraz na początku urządził katolicką szkołę prywatną i w braku funduszów na utrzymanie osobnego nauczyciela sam tam przez dłuszy czas dzieci uczył.

Po siedmioletniem prawie, chlubnem sprawowaniu urzędu misyonarskiego w Ostródzie został roku 1860 przeniesionym do Leśna. Jak wielkie tu jako gorliwy pasterz dusz położył zasługi, to już z tego wynika, że w krótkim czasie oddano mu powiatową inspekcyą nad szkołami jednej części dekanatu Tucholskiego, który to urząd z takiem odznaczeniem sprawował, iż nawet od władzy świeckiej uzyskał wyraźne uznanie. Dla tego też gdy się stósunki zmieniły, a ks. Szczepan w końcu roku 1865 wedle życzenia Najprzew. ks. Biskupa Jana Nepomucena został proboszczem w Pogódkach, musiało to nie mało martwić wielkiego przyjaciela dzieci, kiedy w skutek nowego prawa o nadzorze szkólnym, regencya mu odjęła inspektorat lokalny nad szkołami jego parafii.

Jak gorliwym był proboszczem, tego nie potrzeba obszernie udowadniać. Toć jego śmierć, spowodowana nadmiarem żarliwości pasterskiej, najwymowniejszem jest tego świadectwem. Tak w Leśnie jak i w Pogódkach miał bardzo rozwlekłą parafię. Choć z natury silnie zbudowany, to jednak wrodzoną wrażliwość, którą prawda nadzwyczajnie wielką stałością charakteru hamować umiał, ale która trawiła jego siły, a mianowicie przesadzone prawie natężenie sił duchowych nadwątliło bardzo znaczne jego zdrowie. Nawet podróż do kąpieli w Gastein, którą odbył razem



Widok miasta Kijowa. (Obacz objaśnienia rycin na str. 159).

z Arcypasterzem swoim księdzem Marwiczem, tylko chwilową mu zdołała przynieść ulgę. Cierpiał przez wiele lat na bezsenność, a to bez wątpienia pochodziło ztąd, że ciągle i to z nadzwyczajnem natężeniem myślał. A jeżeli się pytasz, o czem to tak ustawicznie przemyśliwał, to mogę ci powiedzieć, że prawie jedynym przedmiotem jego natężonego myślenia była chwała Boża i twoje, ludu Boży, szczęście doczesne i wieczne. Zwłaszcza od roku 1869, gdy zaczął wydawać »Pielgrzyma«, rozmaite plany snuły mu się po głowie: jakby to najlepiej wydoskonalić to pismo, jakby tę lub owę prawdę przystępną uczynić pojęciu ludu naszego. Z przenikliwością sobie wrodzoną badał potrzeby i zapatrywania ludu, by swoje pisanie do tego zastósować.

Celem wszystkich jego zabiegów było przeprowadzenie ludu napowrót do cnoty ojców. W parafii swojej założył czytelnię ludową, i z wielką skrupulatnością dobierał dla niej książki stósowne. Wiele też pracował, aby w parafianach obudzić smak dobry co do przyozdobienia domu Bożego. Sprowadził kilka pięknych obrazów, i po rozstajnych drogach piękne figury postawiono za jego przykładem. O podźwignięcie szkoły jak najtroskliwiej się starał i pouczaniem gruntownem usiłował lud przekonać o potrzebie posyłania regularnego dzieci do szkoły. Drogi skarb myśli swoich w tym względzie złożył w »Kawałkach o szkole« umieszczonych w 1 i 2 roczniku »Pielgrzyma.«

Ale prace ks. Szczepana nie ograniczały się na samą parafię, którą zawiadował. Pominąwszy to, że celując wymową kaznodziejską, bywał częstokroć proszony z kazaniem na odpusty w sąsiednich parafiach i tam nałogowych grzeszników kruszył i wszystkich do miłości Bożej zapalał, działał on niezmiernie dużo mianowicie dla klasztoru Kościerskiego i na cały ogół jako pisarz ludowy.

Słusznie można go nazwać »rzecznikiem Domu Matki Boskiej Anielskiej w Kościerzynie.« Jemu to bowiem głównie zawdzięczamy, że do serca trafiającą wymową swoją zdołał w ziomkach swoich Kaszubach zajęcie się sprawą tego arcyważnego zakładu dla wykształcenia dziewcząt obudzić. Było to roku 1861 w Uroczystość Matki Boskiej Szkaplerznej w Brusach, kiedy ks. Szczepan po kazaniu po pierwszy raz z tak gorącą przemową dla tej sprawy do licznie zebranych wystąpił, iż wzniecił prawdziwy zapał w słuchaczach swoich. To też gdy objeżdżał tamtejszą okolicę celem zbierania składek, dawali ochoczo w ofierze, na co ich stało. Ubożsi na całe tygodnie sprowadzili

się do Kościerzyny, by rękoma swemi w budowie dopomagać. Przy zakładaniu węgielnego kamienia znowu w porywający prawdziwie sposób przemówił do zgromadzonych; a i później i radą i ofiarą, ile tylko mógł przyczyniał się do wykończenia rozpoczętego dzieła; toć między innemi cały czysty dochód z swoich dzieł drukowanych przeznaczył na korzyść tego Zakładu.

Jako pisarz prawdziwie ludowy bez wątpienia oddał największe zasługi społeczeństwu. Wzrósłszy między ludem, jak rzadko kto, umiał trafić do jego serca. Już w młodszym wieku pisywał artykuły do »Szkółki narodowej«, wychodzącej wtenczas w Chełmnie. Jednak jego wielkie zdolności w tym względzie poznano dopiero z wyżej wymienionego dziełka »Jad człowieczy.« Doczekało się ono drugiego wydania w Galicyi, gdzie je rodacy nasi z wielkim zajęciem czytali. Kilka lat później, gdy ks. biskup chełmiński zaprowadził w dyecezyi nieustanną adoracyą, nasz ks. Szczepan zawsze skory do wszystkiego, co służyło na chwałę Bożą, ułożył »Przewodnik nieustannej czci Przenajświętszego Sakramentu«, gdzie wylał swe nabożne uczucia w sposób przystępny i dla najprostszego człowieka. Jest to kompletna książka do modlitwy i z tego powodu też bardzo rozszerzona. Największem i wiekopomnem dziełem ks. Szczepana jest »Zbiór pieśni nabożnych«, składający się z 66 arkuszy. Zamyka to dzieło w sobie owoce wieloletniej najmozolniejszej pracy. Już jako chłopczyk spisywał sobie rozmaite pieśni i w późniejszym czasie zbierał skrzętnie co tylko mógł. Jest dla tego bezwątpienia najkompletniejsze i najpoprawniejsze dzieło tej treści i w dalekiej przyszłości odwoływać się na nie będą potomkowie nasi.

Dużo prócz tego nagromadził materyału do innych dzieł, a mianowicie do większej książki do modlitwy, do śpiewnika dla Towarzystw, zwłaszcza czeladzi i do historyi chełmińskiej, gdzie szczególnie żywoty świątobliwych ludzi z naszej okolicy chciał skreślić. Niepodobnem jednak było, osobliwie materyały ostatnie uzupełnić i do druku przysposobić, gdyż bardzo dużo szczegółów miał ks. Szczepan po długoletniem szperaniu w swojej pamięci i nigdzie tego nie zapisał. Odkąd wydawał »Pielgrzyma«, nie mógł też już tyle pozyskać czasu, aby rozpoczęte prace dokończyć. Ile zaś dobrego przez swego »Pielgrzyma« zdziałał, to trudno obliczyć. Znam osoby, które czytając to pismo, utwierdziły się we wierze, wiadomy mi nawet jeden przykład, że osoba ewangelicka władająca językiem polskim, dając sobie czytać Nauki niedzielne z »Pielgrzyma,« jedynie wskutek tego za łaską Boską, na łono Kościoła świętego się nawróciła. Sam Ojciec święty Pius IX. po kilka razy osobnem pismem uznał wielkie zasługi, jakie położył ks. Szczepan wydawaniem »Pielgrzyma«; myślał też już o tem, aby w uznaniu jego zasług mianować go swoim honorowym kapelanem, ale ze względu na stósunki po roku 1871 to powstrzymał.

Nieraz pytano się ciekawie, jakże ksiądz Szczepan, pracując sam w tak wielkiej parafii, podoła »Pielgrzymowi«, zwłaszcza gdy zaczął dodawać prześliczny »Podarek dla dobrych dzieci«? Tę zagadkę rozwiąże sobie ten, który poznał bliżej pracowitość jego. Z tej przyczyny mało też mógł się udzielać innym, ale za to był tem serdeczniejszym, jeżeli się go odwiedziło, mianowicie w uroczystość Patrona, którego imię nosił. Dla ubogich, a zwłaszcza studentów był nadzwyczaj szczodry. Dochody jego zrazu były zbyt szczupłe, a i w końcu nie bardzo znaczne; a jednak ponieważ sam dla swej osoby bardzo mało potrzebował i był roztropnie oszczędnym, wspierał wielu potrzebujących, i gdzie chodziło o chwałę Bożą, nie szczędził grosza. To też prócz sprzętów nic więcej po nim nie pozostało jak 200 tal. w listach zastawnych, które już od wielu lat miał zapieczętowane w liście, na którym był napis: »Legat za moję duszę.« Zaiste to lepiej, jak obszerne opisy, maluje jego prawdziwie apostolski charakter.

Ks. Keller zmarł 20. Października 1872.

MAGNETYZM.

Już za starożytnych Greków i Rzymian wydobywano pod miastem Magnezyą, niedaleko Smyrny, w Azyi mniejszej, czarne kamienie, które osobliwszą posiadały siłę, że przyciągały do siebie kawałki żelaza. Te kamienie nazywano już wtenczas magnesami. Jeszcze przed niedawnym czasem przypisywano tym kamieniom, tak w Azyi, jak i w Europie, osobliwe siły, nawet siłę leczenia rozmaitych chorób, i opowiadano niezliczone bajki o górach magnesowych, leżących niby naokoło bieguna północnego ziemi naszej, jakoby one już

z kilku mil odległości przyciągały do siebie wszystko żelazo żeglujących okrętów. Turcy opowiadają bajki o trumnie zamykającej ciało Mahometa, proroka, jakoby ta pomiędzy dwoma magnesami w powietrzu wisiała.

Na kilka set lat przed odkryciem Ameryki przez Krysztofa Kolumba znano w Europie igłę magnesową, którą Chińczycy już bardzo dawno znali, lecz używali jej więcej w podróżach, po swych rozległych pustyniach, niż przy żegludze po dalekich morzach.

Ściślej zbadał dopiero naturę i skutki magnesu około roku 1600 niejaki Gilbert, lekarz nadworny królowej angielskiej, Elżbiety.

Gdy kawałek kamienia magnesowego trzymamy nad opiłkami żelaza, lub nad zwyczajnemi igłami, wtedy opiłki lub igły przyczepiają się tak mocno do niego, iż je z niem podnieść można w górę i trząść mocno, a nie odpadną. Nawet gwoździe, klucze i cięższe kawałki żelaza tak go się mocno trzymają, jak gdyby były przyklejone. Małych kawałków żelaza nie potrzeba nawet przykładać do kamienia z blizka, bo już z dość znacznej odległości podlatują same do niego. Jednakże na niektóre ciała, jak na szkło, drzewo, miedź, rozpalone żelazo, magnes ten nie działa wcale. Na odwrót też mały kawałek magnesu przyczepia się do wielkiego kawałka żelaza, a ztąd wywiedziono to prawo, że magnes i żelazo zwyczajne przyciągają się wzajemnie.

Używaną bywa siła przyciągająca magnesu, np. do tego, aby rozpoznać, czy w jakiem ciele znajduje się żelazo i ażeby odrobiny żelaza, które się pomiędzy odrobinami droższych kruszczów znajdują, z takowych wydobyć.

Magnes przyciąga kawałek żelaza, chociaż się pomiędzy jeden a drugi położy kawałek papieru. Magnes przyciąga żelazny pierścień, chociaż ten jest ukryty za papierowem obiciem na ścianie, albo zachowany w pudełku zrobionem z tektury. Igła na szklanej szybie idzie za poruszeniem kawałka magnesu, znajdującego się z drugiej strony szyby. Siła przyciągająca magnesu działa i przez inne, pomiędzy magnes a żelazo włożone przedmioty.

Magnes nie na wszystkich punktach swej powierzchni przyciąga do siebie z równą siłą. Położywszy podługowaty kawałek magnesu pomiędzy opiłki żelaza, albo pomiędzy igły, spostrzeżemy, że przyczepiło się ich najwięcej na obudwóch przeciwległych jego końcach. Te obadwa końce nazywamy biegunami magnesu. Linią, którą sobie od jednego końca magnesu do drugiego pociągniętą wyobrażamy, nazywamy osią magnesową.

Jeżeli magnes poziomo tak jest zawieszony, że bez przeszkody może się poruszać na wszystkie strony, wtenczas jeden biegun jego zwraca się zawsze na południe, drugi na północ; dwa jego punkta nazywają się wtenczas: jeden biegunem północnym, drugi południowym.

Każdy magnes posiada więc dwie siły, t. j. magnetyzm północny i magnetyzm południowy. Siły te objawiają się w ten sposób względem opiłek żelaznych; ale względem siebie zachowują się nieprzyjaźnie i to tak, że magnetyzm północny przyciąga do siebie magnetyzm południowy, a magnetyzm południowy przyciąga północny. Przeciwnie znów, magnetyzm południowy odpycha południowy, a północny odpycha północny. Ztąd wynika następujące prawo: równe magnetyzmy odpychają się, przeciwne magnetyzmy przyciągają się wzajemnie.

O tem przekonać się można łatwo w ten sposób:

Jeżeli do północnego bieguna sztabki magnesowej przyczepimy jakikolwiek przedmiot żelazny i następnie biegun południowy innej sztabki posiadającą równą siłą magnetyczną do tamtej przybliżymy, wtedy przedmiot ów żelazny odpada. Magnetyzm bowiem południowy i północny sztabek przyciągają się; działanie ich jest skierowane tylko wzajemnie ku sobie, tak że na trzeci przedmiot, chociaż w bezpośredniem zetknięciu, żadnego nie wywierają wpływu. Do dwóch więc magnesów o równej sile biegunami różnoimiennemi na sobie położonych nic żelaznego przyczepić się nie może, czyli:



Dzisiejszy król Nepalu. (Obacz objaśnienia rycin na str. 160).

równe magnetyzmy ubezwładniają się wzajemnie, podczas gdy różne magnetyzmy się wzmacniają.

Najosobliwszą własnością magnesu jest ta, że gdy kawałek twardego żelaza przy magnesie położymy, albo też na nim zwiesimy, wtedy siła magnetyczna udzieli się temu żelazu. Takie żelazo nazywamy sztucznym magnesem. Może on znowu przyciągać inne, nie magnetyczne żelazo, ma także dwa bieguny i nabiera zdolności robienia znowu nowych magnesów. Każdy magnes, który żelazo magnetycznem uczynił, nic ze swojej siły nie traci. Najprędzej nabiera żelazo siły magnetycznej przez pocieranie magnesem.

Traci magnes swą siłę: 1) przez rozpalenie go w ogniu; 2) przez gwałtowne oderwanie żelaza doń przyczepionego.

Magnes wzmacnia się: 1) przez dokładne przyczepianie do niego coraz więcej kawałków żelaza lub stali; 2) przez trzymanie go w suchem miejscu; 3) przez łączenie go z innemi magnesami, kładąc je różnymi biegunami na siebie.

Cała kula ziemska jest niejako jednym wielkim magnesem; w północnej jej części panuje magnetyzm północny. Sprzeczność ta w nazywaniu tem się tłumaczy, że u igły magnetycznej biegun ku północy obrocony ma nazwę północnego i magnetyzm jego północnym jest nazwany, skąd wynika, że magnetyzm ziemi w tej stronie musi być natury południowej.

Igła nachylenia, czyli inklinacyjna, jest to sztabka, a lepiej blaszka śpiczasta magnetyczna, która się może swobodnie poruszać około osi poziomej, idącej przez sam środek jej długości i grubości. U tej igły spostrzeżono, że jej biegun północny na północnej półkuli ziemskiej nachyla się zawsze ku poziomowi, mierząc prosto w magnetyczny biegun północny ziemi naszej. Na południowej półkuli nachyla się biegun południowy igły ku południowemu biegunowi magnetycznemu. Stąd widzimy, że igła taka, z wyjątkiem równika, nigdzie nie przybiera położenia poziomego, lecz zawsze jednym biegunem nachyla się ku ziemi, i dla tego nazywa się igłą nachylenia.

W dwóch zaś tylko miejscach na kuli ziemskiej, to jest, na owych magnetycznych biegunach, przyjmuje ona całkiem prostopadłe położenie. Na północy położony biegun magnetyczny odkrytym został właśnie za pomocą tej igły przez sławnego kapitana okrętowego, John (Jana) Ross, Anglika, w roku 1831, i to w północnej Ameryce. Drugi biegun magnetyczny znajduje się na południu od wschodniego wybrzeża Nowej-Holandyi. U nas igła inklinacyjna nachyla się ku ziemi pod kątem około 70 stopni. To nachylanie się igły magnesowej od prostego kierunku nazywamy z łacińska inklinacyą.

Igła ta, służąca do wskazywania tak zwanych czterech stron świata, jest to cienki podługowaty, na obydwóch końcach kończaty kawałek magnesu, umieszczony na mosiężnym ostrzu lub czopie, lecz tak daleko osadzony, że się może dowolnie w lewo i w prawo obracać. Że jeden magnetyczny biegun ziemi leży w północnej Ameryce, na półwyspie Boothia felix, więc igła magnesowa wskazuje w jednę okolicę północnej Ameryki na północ. Właściwie więc igła magnetyczna nie pokazuje na biegun północny naszej ziemi, tj. koniec jej osi, o co podróżnym najwięcej chodzi; to jest, że cień, który daje tyczka zatknięta w ziemię w czasie południa, nie pada w tym samym kierunku, w jakim igła wskazuje; ponieważ jednak zboczenie to od właściwej północy w naszych stronach nie jest wielkie, a we wszystkich stronach da się łatwo oznaczyć, więc można bez wielkiego błędu uznać kierunek igły za kierunek północny i użyć tej ostatniej za przewodnika w podróży.

Gdy tak igła magnesowa jednę okolicę wyraźnie wskazuje, to nie trudno inne podług tego w następujący sposób odszukać: Na papierze rysuje się koło, stósownie do igły, potem dzieli się na cztery części i pod każdą pisze się pierwsza litera nazwy czterech stron

świata.*) Między tymi głównymi kierunkami w samym środku, leżą środkowe strony świata: północno-wschodnia (PW.), południowo-zachodnia, (PdZ.), południowo-wschodnia (PdW.), północno-zachodnia (PZ.) Wypada ztąd rysunek podobien do gwiazdy, i nazywa się gwiazdą, albo różą wiatrów, bo za jego pomocą można n. p. pod chorągiewką na dachu kierunek wiatru oznaczać.

I igła zboczenia i gwiazda wiatrów są głównemi częściami kompasu, czyli busoli morskiej. Igła zboczenia stawia się tak nad różą, aby punkt oznaczający północ obrócony był trochę ku wschodowi od północnego końca igły, a w tenczas wskazuje igła cztery strony świata od miejsca, na którem się znajduje. Dla łatwego przenoszenia tego przyrządu z miejsca na miejsce jest wszystko zamknięte w szklanem pudełku.

Użytek kompasu jest dla żeglujących po morzu ważnym, dla tego żeglarze nie bardzo zadawalniają się oznaczeniem czterech, ani ośmiu głównych kierunków, tylko ich liczą najmniej 32.

*) P. (Północ), W. (Wschód), Pd. (Południe), Z. (Zachód.)

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Wiatru jak nie było, tak nie było, a dołem na ziemi, jak daleko oko i dalekowidz sięgnąć mogły, tylko piasek a piasek.

Józef nie odzywał się wcale, bo widział, że pan jego bardzo zakłopotany. Leżał sobie z początku na złotych kamieniach, jakby się obawiał, żeby mu ich kto nie wziął, a gdy kamienie się rozgrzały, kładł się przy nich na dnie łodzi balonowej.

Pod wieczór obliczył Fergusson, iż zaledwie 20 mil ulecieli. Wiatr stawał się coraz powolniejszy, słabł widocznie i podróżnicy drzeli, co się stanie, gdy zupełnie ustanie.

Nazajutrz znowu to samo gorąco i ten sam drzemiący prawie wiatr. Balon wlókł się zaledwie.

Krótko po południu, zawołał Józef:

— Panowie, widzę chmurę. Oby nam spuściła rzęsisty deszcz, aby się powietrze trochę odświeżyło. Ja lubię ciepło, zwłaszcza w zimie, ale takie ciepło i w lecie... brrr!

Fergusson spoglądał na chmury, które się istotnie ukazały i potrząsał głową.

— Z tych chmur nie spodziewam się deszczu, — rzekł.

— Czybyśmy nie mogli wznieść balonu aż do tych chmur — zapytał pan Ryszard, — ażeby je niejako zmusić do padania.

— To pewnie nie wiele pomoże, — odpowiedział Fergusson — ale spróbujmy.

Balon wzniósł się niedługo i wpadł w chmury, ale bez skutku, bo były to tylko mgły gęste.

Podróżnicy spuścili smutnie głowy i ciężkość wielka spadła im na piersi. Balon płynął bardzo wolno.

Około godziny 4 po południu krzyknął Józef:

— Widzę drzewa!

Fergusson przyłożył dalekowidz do oka i przekonał się, że Józef rzeczywiście dobrze widział.

— To palmy — rzekł, — a gdy tam palmy rosną, to też i źródło musi być w pobliżu. Jedźmy.

— Panie mój! — zapytał teraz Józef. — Nie moglibyśmy się teraz napić dobrze, gdy źródło tak blisko?

— Napijcie się.

Pan Ryszard i Józef zaczęli chciwie pić i wypili więcej, aniżeli dla każdego na cały dzień było przeznaczone.

Gdy się ku palmom zbliżyli, spostrzegli, że prawie uschłe były, ale co

więcej; na ziemi w pobliżu drzew zobaczyli szczątki kości ludzkich, szkielety.

— Ach, — zawołał Fergusson, — to szczątki karawany, która tu dotąd doszła i dla braku wody zmarła i uschła. Tam wody nie ma.

Ryszard i Józef uparli się jednak, aby wysiąść i przekonać się. Fergusson spuścił balon, wyrzucono drabkę ze sznuru, a obaj towarzysze spuścili się na ziemię.

Napróżno szukali! Były ślady źródła, ale nigdzie kropli wody. Rozpacz zaczęła się wkradać do ich serca. Nadeszła noc, w której żaden z nich oka nie zmrużył.

Nazajutrz rzekł Fergusson:

— Gaz wystarczy nam jeszcze tylko na 6 godzin. Jeżeli w tym czasie nie odkryjemy jakiego źródła lub jakiejbądź wody, Bóg jeden wie, co się z nami stanie.

Towarzysze nic na to nie odpowiedzieli. Opanowała ich rozpacz, siedzieli albo raczej leżeli w łodzi jak bezprzytomni. Ta nieczynność, na którą skazani zostali, uczyniła ich bezwładnymi. Mieli oczy zamknięte, bo na cóż je dopiero otwierać? Chyba na to, ażeby sobie swoję niedolę tem więcej uprzytomniać.

Fergusson zaś zastanawiał się, czy źle nie zrobił, puściwszy się dzień przedtem tak wysoko pod chmury i spotrzebowawszy na to tak wiele gazu. Bił się z myślami i rozważając cały bieg podróży, sam sobie zarzut czynił, że mógł oszczędniej z wodą gospodarzyć, albo też prędzej o zaopatrzeniu się w nią pomyśleć.

Wszystkim trzem zaczęło dokuczać wielkie pragnienie. Mieli jeszcze wódkę w balonie i w biedzie sięgnęli do niej, ażeby się napić. Ale wódka powiększyła jeszcze pragnienie.

Wreszcie odezwał się Fergusson:

— Trzeba nam zrobić ostatni wysiłek. Za pomocą reszty gazu, jaką mamy, wzniosę balon w górę. Może tam znajdziemy wiatr, co nas dalej popchnie.

Towarzysze nic mu na to nie odpowiedzieli, bo im już zgoła obojętną było rzeczą, co się stanie.

Balon wzbił się w górę aż do pięciu tysięcy stóp, ale napróżno; w górze wiatru nie było. Napróżno Fergusson starał się go pchnąć, balon w jednem miejscu się trzymał a wreszcie zaczął słabnąć, zwężać się, opadać i wreszcie spadł zwolna ku ziemi, prawie na to samo miejsce, skąd się wznieśli.

Było właśnie południe; słońce piekło okropnie; prawdziwy żar sypał się z nieba.

Gdy łódka balonowa ziemi dotknęła, ocknęli się towarzysze Fergussona.

— Trzeba wysieść na ziemię — rzekł Fergusson.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Kijów, jedno z najstarożytniejszych miast słowiańskich, od 882—1169 stolica Rusi, następnie główne miasto województwa kijowskiego, obecnie miasto gubernialne leży na prawym brzegu Dniepru, w malowniczem położeniu rozłożony na górach i dolinach. W X i XI wiekach był już miastem znakomitem, posiadał 400 cerkwi i niezliczoną liczbę mieszkańców, słynął z obszernego handlu z Zachodem i Wschodem. Zdobyty roku 1017 przez Bolesława Chrobrego, w roku 1124 uległ zupełnemu prawie zniszczeniu przez straszliwy pożar. W roku 1240 chan mongolski Baty zdobył Kijów i zburzył go prawie do szczętu, tak że już nigdy nie mogło miasto przyjść do poprzedniej wielkości; następnie należał Kijów do rzeszy halicko-ruskiej Daniela, potem władli nim ks. ruscy pod zwierzchnictwem mongolskiem aż do roku 1320, w którym opanowany przez Gedymina, w ks. litewskiego, wcielony został do jego państwa. W roku 1471 po śmierci Szymona Olelkiewicza, ostatniego księcia z rodu Ge-

dymina, zamieniono księstwo kijowskie na województwo i pierwszym wojewodą mianowany Marcin Gasztold. W roku 1516 i 1544 Kijów otrzymał prawo magdeburskie. Na unii lubelskiej r. 1569 województwo kijowskie wcielone zostało do Korony i oddzielone zostało od W. ks. litewskiego. Nareszcie pokojem grzymułtowskim, zawartym roku 1686, Kijów z okręgiem i częścią zadnieprską województwa kijowskiego odstąpiony Rosyi; w roku 1708 zaprowadzono tu zarząd gubernatorski i utworzoną została obszerna gubernija kijowska, do której składu weszła cała Ukraina wschodnia i znaczna część Rosyi środkowej z 36 miastami i 20 miasteczkami. Obecnie Kijów składa się z trzech części: Starego Kijowa albo Zofijska, Pieczerska i Podola. Stary Kijów i Pieczersk położone na górze, podnoszącej się ku wschodowi, oddzielone od siebie parowem, przez który płynie strumień zwany Kreszczatykiem. Poniżej Starego miasta leży część Kijowa, zwana Podołem albo Podolem. W cytadeli kijowskiej, założonej 1706, a obecnie znacznie rozszerzonej, znajduje się słynny monaster (ławra) Kijowo-Pieczarski z katakumbami. Teraźniejszy Kijów ma przeszło 69,500 mieszkańców, 59 cerkwi, między któremi odznacza się sobór św. Zofii, najstarszy zabytek sztuki rosyjskiej, wybudowany 1037 na miejscu, gdzie w. ks. Jarosław pobił Pieczeniegów, z grobami w. książąt; dalej sobór Wniebowzięcia N. M. P. z wspaniałą dzwonnicą i cerkiew św. Jerzego, 1 kościół katolicki (obacz rycinę na str. 409) i 2 kaplice, tudzież kościół luterski. Z zakładów naukowych znajduje się tu uniwersytet ś. Włodzimierza, założony 1835, z liczną biblioteką, ogrodem botanicznym i obserwatoryjum; akademia duchowna i seminaryjum, 2 gimnazya, instytut wychowania panien, korpus kadetów, szkoła geometrów i inne. Z budowli odznaczają się: arsenał, teatr i inne. Prócz wielkiego jarmarku, znanego pod nazwą Kontraktów kijowskich (od 7. Stycznia do 1. Lutego) jest jeszcze 5 jarmarków mniejszych. Głównym punktem handlowym Kijowa jest część zwana Podole, gdzie jest wielki murowany dwór gościnny. Na Dnieprze zbudowano w latach 1848—51. podług planu inżyniera Vignolez'a piękny wiszący most żelazny, jeden z najwspanialszych w Europie.

Dzisiejszy król Nepalu. Królestwo Nepalu leży w Azyi. Graniczy na północ z Tybetem, na wschód z księstwem Sikkim, na południe i na zachód z cesarstwem Indo-Brytańskiem. Nepal zajmujący w Himalajach 200 mil długości na 40 mil szerokości, składa się z mnóstwa wzgórz, płaszczyzn i dolin, wznoszących się stopniowo i stósownie do wysokości rozmaite wydających płody. Jest to jedyna kraina na lądzie azyatyckim, która w ciągu ostatnich wieków zachowała całkowitą niepodległość i nigdy się nie poddała obcemu zdobywcy, jedyna, która uniknęła napaści Muzułmanów.

Chińczycy z jednej strony, Anglicy z drugiej starali się napróżno o zdobycie Nepalu. Sama przyroda dała mu naturalne szańce daleko potężniejsze od wzniesionych ludzką dłonią. Przeszedłszy bagniska Terai, spotyka się olbrzymy Himalajskie, tworzące w niektórych miejscach niby strome ściany, które się obchodzi ścieżkami szerokiemi na kilkanaście centymetrów, wyciosanemi na ich krawędzi. Ze strony Tybetu wznoszą się jeszcze groźniejsze zapory. Główne miasta Nepalu są skupionemi w dolinie, którąby można porównać do rozległej miednicy o brzegach utworzonych z Himalajskich szczytów. Wśród nich wznosi się Mont-Ewerest*), dwakroć wyższy od Mont-Blanc. Ze wszystkich punktów doliny widać tego groźnego olbrzyma, na którym jeszcze ludzka nie stanęła stopa. Panuje tam król młody, którego obrazek podajemy. Pochodzi on z rodziny Goorkhów.

*) Mont-Ewerest czyli Gaurisankar, najwyższa góra na kuli ziemskiej, zbadana przez Schlagenweit'a, ma 28,000 stóp wysokości.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Prawidła pisowni polskiej.

(Ciąg dalszy.)

II. Wyjątek stanowią tylko takie zgłoski, które się kończą na j albo na płynną (ł, l, r, rz, m, n, ń), ilekroć ona ma po sobie jakkąkolwiek drugą spółgłoskę; n. p. szyj-ka, kij-kiem, biał-ko, wiel-ki, biel-szy, czar-ny, martwy. mor-ski, kłam-ca, Trem-becki.

III. Również zostawiają się na linii zapisanej wszystkie spółgłoski słabe, jeżeli po nich następuje jaka mocna, n. p. mow-ca, pierw-szy, traw-ka, marnotraw-stwo, myśliw-stwo, móżdż-kiem, różdżką, pier-worodz-two.

IV. Jest jednakże bardzo wiele takich wyrazów, do których nie można prawideł powyższych stosować, ponieważ w nich w tem miejscu, gdzieby rozdzielone być miały, albo

1) zbytni zbieg różnorodnych spółgłosek innego rozdziału na syllaby wymaga: kop-ciuszek, chłop-czyk, wieszcz-ka, pyszcz-kiem, lek-cya, dyk-cya, wąt-pić, po-myśl-ny;

2) albo też przeszkadza temu zbyt żywe jeszcze poczucie odrębności czy to:

a) przyrostka etymologicznego: zna-komit-szy, więk-szy, pest-ka, pust-kowie, swadź-ba, gędź-ba, szlach-ta, kruch-ta, (mięk-ki, lek-ki, pan-na, ran-ny);

b) czy też końcówki fleksyjnej: kurcz-cie, pisz-my, ludź-mi, pieniędz-mi.

V. W wyrazach kończących się na -ia, -ya, nie oddzielać końcowego a od i lub y, ale całą zgłoskę końcową (jako jednozgłoskową) przenosić w razie potrzeby na linią następną. N. p. Ma-rya, ale nie Mary-a, Ku-ryer, ale nie Kury-er, li-nia, ale nie lini-a i t. d.

VI. Wyrazy złożone.

a) Razem piszą się przysłówki złożone z przyimka i z wyrazu, który

1) sam dla siebie już dziś nie jest używany, n. p. skąd, stamtąd, skądinąd;

2) albo sam dla siebie co innego znaczy niż w złożeniu: np. nakoniec, a na koniec noża.

Tu należą: zowąd, zewsząd, zgoła; zaiste, zapewne, zanadto, zatem; nazad, rzadko, nazbyt, naprzód, nasamprzód, nareszcie, naraz; odkąd, odtąd; dotąd, dopóty, dosyć; wkrótce, wtem, wcale, wraz, wzdłuż, wówczas, wprzód, wskutek; potąd, pokąd, potem, pośród, pomału, pozawczoraj, przeto, przenigdy, przedwczoraj, przedewszystkiem i t. d.

O s o b n o zaś piszą się: z kolei, z pańska, z pyszna; na pozór; za młodu, za wiele, za długo (i przymiotniki: za długi, za słaby); z bliska, z daleka, z dawna, z dawien dawna; na teraz, na prędce; od razu, od dawna, od jutra; do syta, do późna, o ile, o mało; po kolei, po części; po cichu, po prostu, po dziś dzień, raz po raz, po naszemu; bez wątpienia, bez liku i t. d.

(Dokończenie nastąpi.)

Praktyczne rady.

— **Kit do marmuru.** W celu sklejania, potłuczonych wyrobów z marmuru używa się gęstej mieszaniny 1 części szkła wodnego i 4 części kredy szlamowej z odpowiednią ilością wody. Szkło wodne jest to krzemian alkaliczny, łatwo rozpuszczalny we wodzie. Otrzymuje się przez stopienie piasku kwarcowego z potażem, albo z sodą paloną, albo też i z potażem i z sodą. W pierwszym wypadku otrzymamy szkło wodne potażowe, topiąc 45 części czystego piasku kwarcowego z 30 części potażu i 3 części proszku węgla. Stopioną, a następnie sproszkowaną masę ługuje się wygotowując ją z sodą. Szkło sodowe otrzymuje się, stapiając 45 części piasku kwarcowego, 23 części sody palonej i 3 części węgla, albo co najtaniej 100 części piasku, 60 części soli glauberskiej i 15 do 20 części węgla. Sodowo-potażowe szkło wodne zaś otrzymuje się, ze 100 części piasku, 28 części potażu, 22 części sody palonej i 6 części proszku węgla.

— **Koński ząb** (kukurudza pastewna) udaje się bardzo dobrze na znacznie nawet torfiastych gruntach, byle tak obsuszonych, że zaskórna woda w lecie nie zabagnia ani nie robi za wilgotną powierzchni pola. Gospodarz meklemburski p. Pistorius w Kolbowie miewał koński ząb (nasienie pochodzenia amerykańskiego) 3 – 4 metry wysoki. W ciągu 5 lat uprawiał go rok po roku i w tym czasie dawał tylko 2 razy obornik, corocznie zaś używał na mórg 250 funtów kainitu i 160 funtów 26-procentowej mączki żużlowej Thomasa. Zasiewał w pierwszej połowie maja w rzędy około 42 cm. od siebie oddalone zagłębiając ziarna siane na 3 cm.

— **Praktyczny wózek do przewożenia słomy.** W każdem gospodarstwie znaleść można parę niepotrzebnych, a często zawadzających kółek od jakiego starego wozu, które dadzą się użyć do lekkiej, nie zbyt szerokiej osi. Na zwykłym drewnianym pomoście, przytwierdzonym do tej osi, umieszcza się drabinę składającą się z dwóch kijów, długich na 4 – $4^1/_2$ m. z trzech poprzeczek, 75 do 80 cm. szerokich, które przymocowuje się do osi w ten sposób, iżby punkt ciężkości nie spoczywał na niej bezpośrednio. Dłuższe końce drabiny powinny być tak zakończone, iżby się łatwo rękami dały ująć, a w dodatku ma posiadać dwie nogi do opierania na ziemi owego leżącego na wozie przyrządu, końce zaś obu kijów powinny być zaopatrzone w spiczaste kołki 2 stopy wysokie, wbite prostopadle na wierzchu. Dla zabezpieczenia paszy od kręcenia się do kółek, przymocowują się obok nich osłony w kształcie pół tarczy, zbite z desek. Chcąc ładować słomę, zasadza się naprzód na wbite po obu końcach drabiny kołki po jednym snopie, a między temi układa się resztę związanej słomy. Kopa snopów ułożona w ten sposób może być z łatwością ciągnioną przez jednego mężczyznę lub jedną kobietę.

Użyteczność przyrządu tego uznać musi każdy, kto wie, ile czasu potrzebuje np. trzech robotników do przeniesienia 1 kopy snopów z miejsca na miejsce i jak uciążliwem jest noszenie paszy dla służby stajennej. Wózek, urządzony bez żadnego prawie kosztu, nietylko potrafi zaradzić wszystkim tym niedogodnościom, ale nadto utrzymuje w porządku cały dziedziniec, który przy noszeniu słomy na plecach zawsze jest zaśmiecony.

O przygotowaniu

materyałów na ule.

Każdy pszczelarz pragnąłby mieć ule jak najtańsze, a zdaje się, że już nie mogą być tańsze od bezdenka uszytego ze słomy, zwanego kószką. Jeżeli jednak do zwyczajnej kószki dorobi się podstawę, nadstawkę ramkową i daszek, to koszt budowy znacznie się powiększy. Lepiej więc i korzystniej będzie budować bezdenki z desek, wewnątrz wyfutrowane słomą. Taki ul pomalowany z wierzchu wystarczy na lat kilkadziesiąt, a słoma przybita wewnątrz będzie również trwała i sztywna, gdyż nie zagnije, ani myszy jej nie podziurawią, jak to bywa zawsze, kiedy ul szyty jest w obwarzanki z samej słomy. Koszt wyłożony na budowę dobrego ula opłaci się sowicie. Gdyby nawet wypadało odstąpić komu pasiekę, to za dobre ule z pewnemi rojami zawsze lepiej zapłacą. Chcąc jednak, żeby ule były trwałe, nie zsychały się i nie pękały, trzeba materyał zawczasu przygotować i wysuszyć go należycie.

Na jeden ul bezdenek snozowy z nadstawką ramkową, z fundamentem na nóżkach, z przykrywką i daszkiem, potrzeba: 1) dwanaście łokci deski sosnowej lub topolowej cal grubej, a od jedenastu do dwunastu cali szerokiej; 2) sześć łokci deski półtora cala grubej, a jedenaście cali szerokiej; 3) nakoniec cztery łokcie deski pół cala grubej i siedem cali szerokiej (na daszek); razem więc łokci dwadzieścia dwa. Nadto potrzeba pęczka słomy żytniej prostej, o ile można, nie potłuczonej cepami. Najlepiej brać taką słomę przed wymłóceniem, oczyścić ją z zielska i obciąwszy kłosy urównać i związać w pęczki. Na okucie trzeba kilkunastu gwoździ maszynowych, kilkunastu drucianych od trzech do czterech cali długich, kilka łokci drutu miedzianego, dwie zawiaski, dwie obrączki z żelaznej cienkiej bednarki, kawałek blachy cynkowej na daszek, kilka gwoździ zakrzywionych do zatykania, zwanych bankajzami, trocha farby olejnej, pół kwarty pokostu — oto i wszystko.

Gdyby brakło na to gotowizny, to radny pszczelarz i gospodarz tak sobie poradzi: W pierwszem lecie pozbija, byle tylko według dokładnej miary, same uliki z sześciu deszczułek, w środku wyłoży słomą, postawi na byle cegiełkach lub jakiej desce, z wierzchu założy snozy i przykryje deszczułką, na cały ul nałoży czapkę słomianą, i poosadza roje wcześniej, naprzykład w końcu maja lub na początku czerwca. Gdy pszczoły pobudują już sobie gniazda, koło św. Jana lub w początku lipca podorabia nadstawki. Wtedy już pierwszego lata przy umiejętnej gospodarce pszczoły dadzą tyle miodu, że dochód ze sprzedaży go wystarczy na dorobienie ulom w jesieni, póki są dnie ciepłe, podstawek z nóżkami, na pokrycie daszków blachą i pomalowanie. Gdyby zaś kto nabył większą ilość rojów, a nie wykończył im uli w ciągu lata, to i tak będzie mógł pszczoły przezimować, a to, czego brakuje, uzupełnić zwolna przez zimę do przyszłej wiosny.

Znajdzie się pewnie niejeden, co się obawia tych uli, jak wszelkiej nowości. Otóż upewniamy go, że skoro są pszczelarze, co zaprowadzili u siebie ule ramowe i otrzymują z nich sporo korzyści, to w takim ciepłym na zimę, a chłodnym na lato bezdenku gospodarka musi iść lepiej i łatwiej. Chyba nietrudno zrozumieć, że gdy rój w ulu doskonale zimuje, to na wiosnę pszczoły są zdrowe i wcześniej się w ciepłem mieszkanku mnożą, przez co prędko przybywa plastrów i pszczół roboczych; a gdy na czas głównego miodobrania dosyć jest pszczół i woszczyny, to i miodu nagromadzi się dużo, zwłaszcza gdy przez zabranie matki pszczelarz nie dopuści czerwienia, próżnowania pszczół i niepotrzebnej rójki.

Rozmaitości.

* **Skutki strzału.** W Wiedniu odebrał sobie życie wystrzałem z karabinu Werndla, żołnierz nazwiskiem Scheiner. Samobójstwa dokonał w nocy w koszarach. Strzelił tak nieszczęśliwie, że kula, która przeszyła mu pierś, przestrzeliła głowę drugiego, obok śpiącego żołnierza na wylot i zraniła jeszcze trzeciego w ramię. Scheiner żył jeszcze jakiś czas, a gdy przybył lekarz, powiedział: »Melduję pokornie, żem się źle trafił, proszę pokornie mnie opatrzyć.« W kilka godzin później umarł. Ów drugi żołnierz, którego kula trafiła w tył głowy a wyszła środkiem czoła, zmarł natychmiast, prawie bez jęku.

* **Pamiątkowa świątynia na Skałce** w Krakowie, została już w głównej części odrestaurowana, dzięki zabiegom ks. Ambrożego Federowicza. Wdowim zaiste groszem przeprowadzano to dzieło, przy pomocy składek, płynących przeważnie ze Szląska Pruskiego i z Poznańskiego, gdzie cześć dla patrona Polski św. Stanisława tak jest żywą i utrwaloną; przy restauracyi poniósł i ubogi, nieposiadający żadnego majątku, klasztór znaczne ofiary. Do ostatecznego ukończenia restauracyi nietylko świątyni, ale i grobów zasłużonych ojczyźnie mężów, potrzeba jeszcze pewnej kwoty. Prośbę więc o zasiłek na restauracyą wniósł ks. przeor Federowicz do Sejmu. Odzywa się też do wszystkich polskich serc o datki na dokończenie odnowienia kościoła.

* **Spalony w szkle.** Straszny wypadek zdarzył się w hucie szklannej pod Schnappach. Celem naprawienia uszkodzonej wanny, znajdujące się w niej szkło w stanie płynnym odprowadzono do basenu, urządzonego na dziedzińcu. Chcąc zapobiedz, aby szkło zbytnio nie stwardniało, napełniono ów basen wodą, którą rozpalone szkło doprowadziło do stanu wrzenia, przyczem powstał gęsty obłok pary. W tej chwili 17-letni robotnik Mohr, przechodząc mimo basenu, potknął się i wpadł we wrzącą masę. Stróż, znajdujący się w pobliżu, usłyszał krótki krzyk o pomoc, ale nie mógł nic dojrzeć. Około godziny 9 wieczór, gdy para się

rozproszyła, znaleziono nieszczęśliwego chłopca, a raczej jego zwęglone ciało w postawie stojącej, w zastygłej lecz niezupełnie jeszcze zimnej masie; dopiero, gdy szkło ochłodziło się zupełnie, wyrąbano zwłoki biedaka.

* **Ładni ministrowie.** Naburbasza, znany egipski dyplomata, postradał zegarek, podarowany mu przez cesarzową Eugenję w r. 1869 z brylantowym monogramem Napoleona III. Sposób utraty jest charakterystyczny. Kiedy Nubar był prezesem ministrów, miał zwyczaj, iż w czasie posiedzenia wyciągał zegarek i kładł go przed sobą na stoliku. Razu jednego przy zamkniętych drzwiach, na pełnem posiedzeniu ministrów, zgasło nagle światło elektryczne na chwilę, a kiedy zabłysło znowu — zegarka na stole nie było. Nubar popatrzył na stolik, potem na każdego z ministrów, lecz żaden z nich nie był zmięszany. »Panowie — powiedział po dłuższej chwili — wszyscy widzieliście, że zegarek leżał przedemną, a teraz go niema. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Przypuszczam, że albo który z panów ministrów zażartował sobie albo też było to chwilowe zapomnienie się jednego z panów. Gaszę światło i jestem pewny, że gdy zabłyśnie znowu, zegarek znajdę na stoliku.« Światło zgasło a kiedy pojawiło się znowu, nietylko że zegarka nie było, ale znikł i kałamarz, wysadzany brylantami a pochodzący z daru króla Wiktora Emanuela. Ładni ministrowie!

* **Nowy sposób uprawiania roli.** Zamiast orania ziemi, w niektórych okolicach Ameryki zaczynają używać innego sposobu. Oto wiercą w ziemi dziury o półtrzecia łokcia jedną od drugiej, a łokieć lub półtora głębokie. W każdą z nich kładą nabój z dynamitem i wszystkie naboje łączą z sobą drutem podwójnym. Potem puszczają na druty elektryczność; od tego między końcami drutów w każdym naboju wyskakuje iskra elektryczna, dynamit zapala się jak proch i w mgnieniu oka na całej roli powstaje wybuch, który wzrusza i odrzuca glebę. Wtedy druty usuwają i rolę równają bronami. Sposób to jużci pewnie dobry, bo doskonale rolę rozkrusza; tylko pytanie, ile to kosztuje, chyba o wiele drożej, niźli orka pługiem.

* **W Petersburgu** wynalazł aptekarz cygaro, które potrzeba tylko potrzeć na jednej stronie, a zapali się samo.

* **Jaje strusie** waży tyle co 25 do 30 jaj kurzych i ma być o wiele smaczniejszem od jaj kurzych.

* **W Mississippi** człowiek który musi mieć bardzo wiele czasu, obliczył ile ziarn zawiera szefel, i wynalazł że szefel zawiera 72,130 ziarn kukurydzowych, 830,000 ziarn pszenicy, 109,000 ziarn grochu i 164,166 ziarn siemienia bawełnianego.

* **Przy usypianiu** zmysły w następującym porządku przestają działać: Wzrok, smak, powonienie, słuch i nareszcie czucie. To ostatnie śpi najwięcej; po niem następują słuch, wzrok, smak, powonienie. Najtrudniej ocucić dwa te ostatnie zmysły.

* **Zapałki z papieru.** W Francyi fabrykują nowy rodzaj zapałek z papieru. Zapałka taka jest ściśle zwiniętym długim rulonikiem z papieru, nasyconego w mięszaninie, złożonej z 4 części kalafonii, 1 części stearyny i 2 części roztworu cynkowego. Zapałki te mają być wcale nie złe.

* **Spadek po Kardynale Manningu** nie zbogaci chyba nikogo. Jak się okazało z pozostawionego przez księcia Kościoła testamentu, cała spuścizna składa się z 98 funtów szterlingów (około 2000 m) gotówką, jednego suwerena złotego, oraz kilkunastu książek, przeznaczonych dla bractwa św. Karola Boromeusza. Zmarły kardynał rozdał wszystko, co dostał, między biednych.

* **Historya zegarów.** W roku bieżącym upływa 250 lat od czasu, jak pierwszy zegarek został urządzony. Wprawdzie mechaniczne przyrządy do mierzenia czasu istniały już przed tysiącem lat, a w wieku XIII i XIV wyrabiano słynne podówczas zegarki w Monasterze, lecz zegar wahadłowy, ogólnie teraz rozpowszechniony, został wynaleziony dopiero w roku 1642. Pierwszy wpadł na ten pomysł Galileusz. Gdy był młodym chłopcem, uwagę jego zwrócił kiedyś w kościele świecznik, wiszący na haku, który skutkiem złego zawieszenia ustawicznie się chybotał; Galileuszowi wówczas przyszło na myśl, iż możnaby zastósować przyrząd poruszający się miarowo, do obliczania czasu. W r. 1656 niezależnie od Galileusza uczynił to samo odkrycie Huygens i podał je do powszechnej wiadomości w książce, wydanej w r. 1657. Wprowadzenie systemu wahadłowego było ogromnym krokiem najprzód w zegarmistrzowstwie; — na systemie tym oparty jest mechanizm nietylko zegarów ściennych, ale i kieszonkowych i t. zw. chronometrów. Od owego pomysłu Galileusza upłynęło lat 250, a dotychczas nie wynaleziono nic lepszego.

* **Rachunek śmierci.** Podług jednego z tygodników lekarskich, wychodzących w Paryżu, na całej kuli ziemskiej umiera rocznie 33 milionów ludzi, zatem przeciętnie 91,554 osób dziennie — 3,730 na godzinę — 62 na minutę.

Średnia długość życia ludzkiego wynosi 28 lat. Czwarta część ludności umiera przed skończonym siódmym rokiem życia, a połowa przed skończonym siedmnastym rokiem.

Ze 100,000 osób jedna dożyje setnego roku.

Żonaci i zamężne żyją w ogóle dłużej niż bezżeni.

* **Największym hodowcą** owiec w Rosyi jest niejaki Gustaw Iwanowicz, posiadający 600,000 akrów ziemi, milion owiec i 34,000 psów owczarskich.

* **Gdyby słoń** w stósunku do słowika posiadał głos odpowiadający swej wielkości, usłyszanoby go na całej kuli ziemskiej.

* **Amerykańskie wojsko** liczy 101,321 żołnierzy z 8,879 oficerami i 1248 sztabowymi oficerami, tak iż ogólna siła wynosi 111,948 żołnierzy. Oprócz tego

znajduje się w Ameryce jeszcze 8,567,350 do wojska zdatnych mężczyzn.

* **Cudownie ocalona.** W klasztorze rzymskim św. Anny przy Via Marulana znajduje się obecnie zakonnica, Anna Rozyna, której życie tworzy istną powieść. Koło roku 1880 była to śpiewaczka cudnej urody i europejskiej sławy. Gdy wyspę Ischię nawiedziło trzęsienie ziemi, śpiewaczka mieszkała właśnie w Casamiccioli. Hotel, przez nią zajęty, zawalił się i pogrzebał ją pod gruzami. Dziwnym trafem przecież śpiewaczka ocalała, choć wszyscy jej sąsiedzi zginęli. Wówczas ślubowała ona wstąpić do klasztoru, jeżeli ją odkopią. Gdy się tak stało, niezwłocznie udała się do Neapolu i tam włożyła suknie zakonne. Obecnie przeniesiono ją do Rzymu.

* **Węgry** mają 15,133,793 mieszkańców; 233,009 niewiast więcej aniżeli mężczyzn.

ŻARTY.

Wyjaśnił.

— Zkąd to wracacie, panie Macieju?

— Z miasta; chodziłem po towar do swego sklepiku.

— Aha? dobrze że was spotkałem. Ludzie się skarżą na was; zdzieracie ich... Jak to można tak postępować! Wstydźcie się! Toż to powiadają, że zarabiacie talar na talarze!

— Kłamstwo! proszę jegomości... wierutne kłamstwo, ja jestem kontent i dziękuję Bogu, jak zarobię fenyg na fenygu!

Szczyt antysemityzmu.

Pewien jegomość był tak wielkim antysemitą (przeciwnikiem żydów), że nie pisał atramentem, ażeby przypadkiem nie zrobić żyda (plamy.)

Małe nieporozumienie.

Podróżujący (z powodu omdlenia pewnej pani):

— Czy kto z panów nie ma czasem co pachnącego przy sobie?

Uczeń rzemieślniczy (nieśmiało):

— Czybym nie mógł służyć kawałkiem limburskiego sera?...

— Pożycz mi dziesięć reńskich.

— Przepraszam cię; nie wziąłem ze sobą sakiewki.

— Cóż za roztrzepaniec z ciebie! przecież wiesz, że się co dzień z sobą spotykamy...

— Bój się Boga! co ty za przyjemność znajdujesz w tem piciu i upijaniu się?

— Nie głupim ci powiedzieć, bo jakbyś się dowiedział, tobyś także pił i upijał się...

Trafna odpowiedź.

Wieśniak: Dla czego ludzie się tam tak zbiegają?

Mieszczanin: Bo krowa zniosła tam jaje!

Wieśniak: Jestto rzeczą podziwienia godną, ale dziwniejszą jest ta okoliczność, że wielbłąd o tem mi powiada.

Mądry Kuba.

— Po czem można starą kurę odróżnić od młodej — pyta Bartek Kuby.

— Po zębach — Bartek odpowiada.

— Jakżeż po zębach, kiedy kury zębów nie mają.

— Kury nie mają, ale ja mam, więc jak ugryzę, to wiem, która kura stara, a która młoda.

Treść zeszytu 10 „Światła“:

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.